

Spowiedź niczyja.

Zapis życiowej i duchowej walki

Dobre złego początki

Z dzieciństwa pamiętam trochę jasnych chwil. Życie wiejskiego bachora z lat 90-tych ubiegłego wieku bywa dość kolorowe. O ile można kolorami nazwać hasanie po lesie, budowanie w nim szałasów, zbieranie poziomek, jagód, budowanie zastawek w rzece i spędzanie wolnego czasu nie na nauce, lecz na zabawach typu dwa ognie czy chowanego. Wyrosłem na kreta, który ryje w glebie i wychyla się tylko po to, by zrobić kretówkę. Kremówki, jak dla mnie, można oddawać za to wrogom, bo są zbyt kaloryczne.

Urodziłem się jako dziecko pełnosprawne. Dzieciństwo, o ile dość kolorowe, nie mogło okraszyć terroru, jakim była moja odwieczna odmienność. Uczyłem się w szkole w sumie średnio, jednym razem błyszcząc, innym natomiast blednąc, ale ukończyłem gimnazjum bez większych problemów. Szkołę średnią zresztą również, lecz o tym (i o próbach studiowania), nieco później. Nigdy nie miałem świadectwa z czerwonym paskiem. Niezbyt dobre rokowania na przyszłość i niezbyt korzystne warunki.

Ofiara to przegrane słowo. Byłem ofiarą po raz pierwszy jako dziecko, chociaż nie wiem, czy można to nazwać tak. Wymknąłem się z dwuznacznej sytuacji, w jaką chciał mnie wrobić pewien dorosły pan. Na szczęście dobrym zabezpieczeniem przed byciem wykorzystanym jest utrata złudzeń już w wieku dziesięciu lat i spot telewizyjny mówiący, że zły dotyk boli przez całe życie. Kiedy ten mężczyzna (nie był to żaden ksiądz, choć w jego pokoju wisiał obraz religijny) zaczął mnie dotykać, udałem się do drugiego pokoju udając, że nie wiem do końca o co chodzi i leżałem w łóżku pod obrazem Matki Boskiej myśląc o tym, co się dokładnie stało, albo co mogło się stać, czy raczej czego uniknąłem (co się nie stało).

Wracając z ferii spędzonych w tamtym miejscu patrzyłem półprzytomnie w okno, co zdarza mi się do dzisiaj. Temat tego incydentu ciągnie się i ciągnie. Właściwie w wielu materiałach nie zmieniłem się od tamtego czasu.

Podobno w wieku lat piętnastu człowiek osiąga dojrzałość. Wspominam ten czas dobrze, mimo braku słodyczy, jaką może taki czas cechować. Pamiętam, że byłem chudy jak patyk, z gier telewizyjnych przerzuciłem się na komputerowe, wymieniałem się z jedyną przyjaciółką dyskietskami, w których podrzucaliśmy sobie opowiadania i wiersze. No i byłem zauroczony.

Niezbyt mile widziany wśród rówieśników i w kościelnej społeczności. Dalej kwestia

odmienności. Dziś nie ma już wiele z tego, co wtedy wręcz "wołało o pomstę do nieba"... Pokolenie jebać policję dwa!

Nie potrafię skupiać się w tym zapisie na szczegółach. Streszczam, ile wlezie, by nie rozdrobnić się i zacząć dzielić włos(y) na czworo. Staram się również omijać cokolwiek związanego z osobami z mojego otoczenia, bo musiałbym robić z siebie jakąś ofiarę, którą pewnie może niekiedy i byłem, ale wolę też nie pisać dużo i źle...

Diagnoza

Moim pierwszym końcem świata było zdiagnozowanie u mnie schizofrenii. Tuż po całkiem fajnym, ale stresującym okresie licealnym i zdaniu matury. Nie będę się skupiał, czyja to była wina. Bo sądzę, że wspólna, a nawet także i moja.

W liceum było, jak to w życiu - raz na wozie, a raz pod wozem. Byli przyjaciele i wrogowie, były cienie i kolory. Pierwszy rok wagarowałem, pamiętam, że udałem się na profil snycerski tylko dlatego, że na nim oferowano naukę języka niemieckiego, a na metaloplastyce - rosyjskiego, z którym w ogóle wcześniej nie miałem styczności.

Mieszkało się w internacie rzut beretem od szkoły. W pokoju z obcymi, skrajnie różnie do mojej osoby nastawionymi. Dawałem radę, choć miałem problemy z zaliczeniem matematyki, głównie przez dużo nieobecności na tym przedmiocie. W końcu moje być albo nie być (i kolegów) zawisło na włosku. Zmobilizowałem się i zaliczyłem matematykę na dopuszczający. Gdyby nie to, że nie musiałem jej zdawać na maturze, to pewnie nie mógłbym się poszczycić tym i tak nieistotnym papierkiem...

Przez pewien czas mieszkałem na innej ulicy, internat położony dalej od szkoły, trzeba było dojeżdżać komunikacją miejską. Kupowałem na ogół bilet, ale czasem udało mi się przejechać na gapę. W tamtej placówce było lepiej. Upijaliśmy się wódką, mieliśmy w piątki pierogi ruskie, fajnych opiekunów. Tylko nie wiem, czemu "gang drecholi" wchodził nam, przyszłym artystom pod prysznicę. Ufff, do niczego naprawdę nie doszło, ale było blisko.

Kilka razy zdarzało nam się upić na plantach, niektórzy proponowali trawę.

Raz udało mi się całować z połową imprezowiczek w knajpie i popieścić się z jedną z nich nieco dłużej. Mimo to, ja jako idealista starałem się żyć cnotliwie. Zdzierałem naklejki z piwa jako niewyżyty seksualnie, a piło się ze mną dobrze, bo odstawiałem ostatki.

Matura to bzdura, o ile nie zdaje się jej z geografii i nie choruje na coś w stylu grypy, wysmarkując przy jej zdawaniu trzech opakowań chusteczek higienicznych.

No i ten piękny sen trafił szlag.

Nie umiem opisać tego, co dzieje się z umysłem chorującej osoby. W każdym razie jest to ociążały czerep, wypełniony strasznie gorzkim dziegciem, a czasem, dla odmiany i paradoksu - miodem. Bez hospitalizacji obyło się przez długi czas, ale i tak w końcu zostałem jej poddany. Nie, żadnej przerażającej akcji, żadnego kneblowania i lobotomii. Na razie...

Włóczyłem się po kilku kierunkach i dwóch uczelniach w nadziei na zdobycie mgr przed nazwiskiem. Bezskutecznie. Popadałem w paranoję lub miałem jakieś zwidy. Traciłem kontrolę nad swoim zachowaniem, doświadczałem niezbyt przyjemnych przygód, doświadczając również dziwnych doznań (jakby z pogranicza mistyki).

U pierwszej lekarki usłyszałem diagnozę. Miała całą półkę dzieł Słowackiego, daleko później przeczytałem, że u niego też podejrzewa się schizofrenię.

W kukułczym gnieździe I

Po psychiatrycznym przedszkolu, jakim jest oddział dzienny, w którym maluje się krasnale i inne pierdoły, zostałem często odsyłany do oddziału rehabilitacyjnego. Ponoć wyczerpanie, które dopadło mnie już po zdaniu matury, nie pozwoliło ruszyć dalej i wymagało leczenia. Na tym oddziale jest aż zbyt nudno. Pobudka, gimnastyka, śniadanie, zajęcia, obiad, zajęcia, kolacja, leki, sen. I tak kilka razy przez pół roku. Rzygać się chce... W weekend są tylko posiłki, a czas należy organizować sobie samemu. Czyli nie robi się praktycznie nic. Czasem można coś poczytać i udać się na spacer, by nie zwariować zupełnie.

W ramach zajęć, emitowane są filmy typu "Piękny umysł". Oglądałem go drugi raz, wcześniej, jeszcze w liceum, włączyła mi go znajoma, chyba widząc, że ze mną zaczyna być coś nie tak.

W kukułczym gnieździe II

Co ciekawe, oddział rehabilitacji, z którym najbardziej się związałem, został już zlikwidowany. Trzeba było udawać się na taki o podstawowym zabezpieczeniu, a tam już jest większy rygor, choć muszę stwierdzić, że to nawet z drugiej strony lepiej, bo nie jest tam tak nudno.

I tutaj polecam "Lot nad kukułczym gniazdem", ale bardziej humanitarny i przystosowany do realiów XXI wieku (nie zawsze). W sumie sporo dała mi lektura "Cichego pokoju" Amandy Bennett. Nie da się streścić jednego dnia z leczniczej placówki, ja tam byłem miesiącami. Pierwszy raz jako półprzytomne zombie.

Nigdy jeszcze nie zostałem zapięty w pasy ani poddany elektrowstrząsom, co uważam za wielki wyczyn.

Wrzaski, krzyki, absurdy, chaos.

Myślę, że medytacja pomogła mi bardziej niż modlitwa. Nazwałbym je przeciwieństwami, bo o ile medytując uspokajam umysł, o tyle modląc się, wpędzam go w paranoję religijną i urojenia o takiej treści. "Nie jesteś aniołem, mówię ci..."

Jest jeszcze epizod w szpitalu krakowskim, nie położonym w swoim województwie, ale to niezbyt warty wzmianki okres.

Już? Mogiem?

Wyjść z tych lochów i smoków? Moja rodzina poszła w rozsypkę, ja zostałem ubezwłasnowolniony, ale i po 10 latach - "wyleczony", choć i wyedukowany na temat choroby, z szansą na los lepszy od niejednego - mogę tworzyć, malować, choć lirycznie, to już mi się odechciało...

Pisząc pierwsze teksty w wieku lat piętnastu chciałem zostać poetą. I chyba trochę mi się udało. Poeta, poeta, ale głowa nie ta. Prozaik, prozaik, lecz czytelnik - laik?

Mógłbym jeszcze wspomnieć o bardzo wielu rzeczach, ale nie jest to konieczne. O zmarłych nie mówi się źle, choć nic żywym nie mogą zrobić, o żywych nie pisze się źle, bo mogą się "odwdzięczyć".

Walka duchowa

Zapytano mnie kiedyś, jak tam u mnie duchowo. Sądzę, że niczego nie jestem pewien w sprawach duchowych. Wątpię, czy duch istnieje, posiadając jego hart. Nie mam pojęcia, jakimi "naczyniami duszy" płynie ulga po spowiedzi, której nie doświadczam, "spowiadając" się teraz. I nie żałując, że mówię niesamowicie zdawkowo, zupełnie jak wierny, który nie ufa kapłanom.